

trzeba świrować, żeby nie zwariować

rozmawiał: Paweł Kawatek

Kolorowy ptak z mentalnością skrzata. Muzyk z duszą dziecka i nieustającą ciekawością świata. **Włodek Dembowski** zupełnie na poważnie zasilł wegeszeregi i dobrze mu z tym

WARSZAWA



zdjęcie: Blazej Żóławski

Jednym z licznych projektów, w których się udzielasz, jest zespół Łąki Łan. Nie jesteście zespołem jakich wiele. Fantazyjny wizerunek sceniczny, teksty, pseudonimy...

Faktycznie, ciężko jest znaleźć podobne zespoły w Polsce, ale na Zachodzie jest ich sporo. P-Funk Allstars, George Clinton, Parliament Funkadelic czy Bootsy Collins. To oni przebierali się jako pierwsi. Do tej pory się przebierają. Choć są już dziadkami, wciąż wychodzą na scenę w pieluchach, wielkich szatach czy pióropuszcach. To jest taki nasz matecznik. Co do ksyw – np. Bartek Królik, kiedy dołączył do Łąki, stwierdził, że Królikiem i tak już jest – z nazwiska, więc w Łące będzie miał alter ego i zostanie zajęcem (Zajonc Cokictokloc). Ja na początku mojej działalności w Łanie byłem Księżul em Sporysz. To dlatego, że czasami lubiłem prawić morały, a z drugiej strony, byłem jak żul – stąd Księżul. A sporysz, bo wyrasta na kłosie. To grzyb szkodnik i gdy ludzie przypadkiem go spożywali, mieli niesamowite wizje. W pewnym momencie uznaliśmy, że musimy od siebie odpocząć i rozłączyliśmy się na jakiś czas. Po przerwie wróciłem już jako Paprodziad. Narodził się wtedy, kiedy poczułem go, będąc w paprociach pod Popradem. Wtedy samo się wyklarowało. Bonk przebierał się za baka już od dawna. Zanim został wege, był naprawdę „pączkiem”. Poń Kolny – tak jak konik polny – jest długaśny, ma długie nogi. On też już nie je mięsa. Mega Motyla widziałem w tym stroju na jakimś balu przebiezańców, na długo przed Łąką – stąd motyl. Mega jest od zawsze, bo... jest po prostu mega! To jest wrodzone. A Jezus Marian? Niech to pozostanie tajemnicą....

Wszyscy jesteście wege?

Nie. Mega Motyl jest meganie-wege. Póki co mięsa nie jadam ja, Bonk i Poń Kolny. Zając i Marian rozważają ten temat, ale nie podjęli jeszcze decyzji. Nie ma to wpływu

na relacje w zespole. Nikt tam nikogo do niczego nie zmusza. Przykład można dawać przez swoją postawę, żeby ewentualnie zainspirować kogoś do działania. Nic na siłę.

Inspiracją mogą być też Wasze stroje sceniczne. Kto je wymyśla? Kupujecie je czy to Wasza robota?

Bardzo różnie. Mnie pomaga mama z panią krawcową z Ulrychowa – dzielnicy, z której pochodzę. Czasem stroje wymyśla i szyje moja mama, a czasem szyję sobie sam. Bywa, że dostaję je w prezencie, ale zazwyczaj staram się robić to jak najbardziej chałupniczo, żeby wszystko, co nosimy, było „nasze” – wzięte z życia, a nie ze sklepu, do którego może pójść każdy. Motyl jest już wykwalifikowanym specjalistą od budowy skrzydeł. Gdybyś widział pierwsze, jakie skonstruował, to padłbyś ze śmiechu. Teraz robi to super! Skrzydła, które nosi obecnie, nie składają się, przez co, wychodząc w kostiumach na scenę, często dostajemy skrzydłami po ryjach, ale przynajmniej mi się nie psują.

W Polsce bycie innym to wciąż wyzwanie. Jeśli masz odwagę jakkolwiek wyróżnić się z tłumu, możesz mieć pewność, że prędzej czy później przypną Ci latkę. Jak odbierają Was inni? Pewnie mają was za niezłych świrów?

Mają, mają... Nawet ostatnio czytałem recenzję nowej płyty, gdzie piszą o nas „są tymi świrami, są powariowani i ogólnie nieogarnięci, ale naprawdę – stworzyli zarabistą płytę i za to szacun”. Mam nadzieję, że ta płyta pokaże, że nie jesteśmy tylko kabaretem Łąki Łan – jak nas często nazywają, ale też po prostu muzykami. A to, że lubimy żyć na wesoło, kolorowo i z jajem, nie stoi na przeszkodzie temu, by tworzyć porządną muzykę. Rzekłbym nawet, że wręcz odwrotnie. Trzeba świrować, żeby nie zwirować. Ta muzyka jest dla nas pewnego rodzaju światłem, czymś, co z nas wypływa.

To filozofia i metafizyka naszych bytów, naszego sposobu myślenia, życia, pulsu, który w nas drzemie – radosnego i energetycznego. Kiedy wchodzisz w ten stan i chcesz przekazać go innym, nie możesz robić tego w ciuchach, w których snujesz się po domu – w kalesonach i bluzie z kapturem. Trzeba spełnić kilka warunków, by tzw. show było dobre i pełne. Oprócz muzyki tworzą je fajne stroje. Taki mamy styl. Nie gramy typowych koncertów. To raczej spektakle. Muzyka jest najważniejsza, ale dzięki temu, jak wyglądamy, zapraszamy do naszej krainy. Nasz wygląd oddaje stan naszego ducha i to, jak czujemy się wewnątrz.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Twoje powłóczyste peleryny i czapki w szpic są nawiązaniem do ubioru skrzatów. Twoja broda tylko mnie w tym upewnia, dopełniając całości...

Rzeczywiście. Pelerynę skołowały dla mnie ulrychowskie skrzaty spod Biedronki. Jeden z nich wyprzedawał wszystko ze swojej chatki, żeby mieć na nalewki. Kiedyś niejacy Melon i BinLaden złapali mnie w przelocie i zagaili, że mają dla mnie piękny materiał. Akurat bardzo się lubię z tymi skrzatami, więc poszedłem na miejsce i rzeczywiście – okazało się, że mówią prawdę. Co prawda nie jest to naturalny materiał, ale takie wówczas były czasy. Poza tym mocno wierze w to, że każda chata musi mieć swojego skrzata. Myślenie o takich rzeczach odeszło w niepamięć. Mam nadzieję, że uda się nam przywrócić je choć trochę. Między innymi o tym mówi piosenka „Dziadarap” z najnowszej płyty Łąki Łan – „Armanda”. Pozornie opowiada o dziwnej, nierzeczywistej postaci, a w rzeczywistości jest opisem czasów, kiedy mieszkałem na Ulrychowie. Pokazuje, skąd się wziął Paprodziad i że on istnieje naprawdę.

Każdy może być jakąś postacią. Niekoniecznie muszą być do końca życia Włodkiem Dembowskim

Włodek Dembowski: rocznik 1980. Charyzmatyczny wokalista, lokalny patriota, ekstremalny piechur. Dawca dobrej energii i marchewek. Miłośnik natury oraz skrzatów. Śpiewa m.in. w zespole Łąki Łan, z którym promuje najnowszą płytę p.t. „Armanda”

– bo tak mnie nazwano. Dlaczego więc muszę nim być? O wiele bardziej niż Włodkiem czuję się Paprodziadem. Tak chciałbym mieć napisane w paszporcie...

Czy to, jak Cię nazywają, zaczyna Cię wierać?

Bardziej uwiera mnie chociażby to, że nie masz na coś wpływu. Nagle musisz się pogodzić z tym, co ktoś Ci powiedział, uznając to za jedyną słuszną opcję. „Masz jeść mięso!” – no to jem, bo ktoś mi powiedział, że bez mięsa nie będę się prawidłowo rozwijał, co jest nieprawdą. Wciąż dowiaduję się czegoś nowego, bo moja dziewczyna jest pasjonatką tego tematu. Prawdę mówiąc, odkąd nie jem mięsa, czuję się jeszcze lepiej. Mam więcej energii, więcej jest we mnie radości życia. Bardzo dbam o dietę pod względem jej zbilansowania. Staram się, by zawierała wszystkie niezbędne składniki pod różnymi postaciami. Unikam sytuacji, kiedy jem tylko pierogi, naleśniki i załatwiam sprawę mąką – nie chcę nabawić się anemii. Pietruszka, koperek i inne zioła nie są mi obce. Wyłącznie świeże. Nie zawsze takie dbanie o prawidłową dietę jest łatwe, ale jak się chce...

Dźwięki, które wydobywacie jako Łąki Łan, nazywacie ŁąkiFunk. W waszej muzyce słychać funk, jazz, lata 80., odrobinę breakbeat'u, elektroniki... Dość szerokie pole manerwu.

Dokładnie. Jest tego tyle, że trudno to było określić. Dlatego w ramach zabawy konwencją postanowiliśmy ułatwić sprawę wszystkim tym, którzy pytają nas o to, co gramy. Nazw było wiele – Disco-Pole, PąkRock... To nawet nie jest kwestia nazewnictwa, bo każda muzyka, jeśli tylko jest szczerą i działa pozytywnie na człowieka, jest fajna i nie ma sensu jej nazywać. Tak naprawdę wszystko jest jednym, więc byłoby najlepiej, gdybyśmy mówili, że gramy wszystko jedno.

Wasze numery są zwykle oszczędne w warstwie tekstowej. Piszesz tak, że czasem dwa lub trzy zdania potrafią oddać klimat i nadać sznyt całości. Czasem puszczacie oko do słuchacza, a czasem motywujecie do myślenia. Np. w piosence „Lovelock”, która odnosi się do li-potezy Gai Jamesa Lovelocka.

Jeśli ktoś zagłębi się w tę teorię, dowie się, że cokolwiek by się na Ziemi nie wydarzyło, ona się podniesie z każdego upadku, otrząśnie się ze wszystkiego, co jej szkodzi – także ludzi, którzy o nią nie dbają, i będzie miała nas w nosie. Jeżeli nie będziemy szanowali naszej Matki Ziemi, może spotkać nas los dinozaurów. Piosenka „Lovelock” to rodzaj przestrogi. Podanej delikatnie i „z jajem”, ale skłaniającej do refleksji nad postępowaniem człowieka względem natury. Telewizja mówi o tragediach i przestępstwach, bo tym się karmia media. Nie usłyszysz tam niczego mądrego, filozoficznego, bo to niepopularne. Najlepiej jest nie myśleć i oglądać obrazki. Taka jest smutna prawda. Być może dzięki temu numerowi kilka osób uświadomi sobie, że istnieje myślowska, wizualizacja i że to ma wpływ na nasze życie.

Oprócz tego, co cieszy oko na waszych koncertach, a jednocześnie może dziwić, dopieszczacie publikę symbolicznymi drobiazgami, cukierkami czy pluszakami, które ostatnio zamieniliście na... marchewki. To dlatego, że jesteście wege?

Trochę tak. Były też plastikowe kwiaty z odzysku, bywają kwiaty żywe – również z odzysku, czasem jeszcze zdarzają się cukierki. Poszerzamy wachlarz naszych koncertowych pomysłów – stąd marchewki. Cenimy sobie bardzo kontakt z publicznością. Taka wymiana między nami bardzo dużo daje. Jest konfetti, sztuczne ognie, bańki mydlane... Na Woodstocku nawet latałem po wypiciu mojej magicznej mikstury z pluszowych robaków.



zdjęcie: Mateusz Stachuja

To był show na całkiem dużą skalę, zwłaszcza, że bawił się z nami prawie milion osób. Graliśmy po zespole Prodigy.

Kiedy i dlaczego zaświtała Ci myśl, by rzucić mięso? Obudziłeś się któregoś dnia i stwierdziłeś, że właśnie od dziś...

Docierało to do mnie powoli z różnych stron. Bonk pierwszy zaczął być wege. Później Poñ Kolny rzekł, że skoro bardziej niż za ludźmi przepada za zwierzętami, to dlaczego miałby je zjadać? Nikt przecież

nie zje ulubionego pieska czy kotka. Człowiek po to ma świadomość i mózg, by umieć ocenić sytuację. Jeżeli widzimy, że jakaś kultura czy tradycja nie są tym samym, czym były kiedyś, że coś po prostu nie ma sensu, to warto się zastanowić i odejść od nich. Obejrzałem kilka filmów o tym, jak produkuje się mięso, jak to wszystko się dzieje, i stwierdziłem, że głupio by mi było śpiewać takie rzeczy, jakie śpiewam, i być miłośnikiem natury, dokładając swoją cegiełkę do tego, co widzimy. To by była po prostu hipokryzja.

A Twoi bliscy? Pewnie byli zaskoczeni?

Kiedy moja mama dowiedziała się, że już nigdy nie zjem karpia w wigilię, w pierwszej chwili się załamała. Na szczęście jest bardzo świadomą osobą, więc zrozumiała wszystko to, co jej powiedziałam. Nawet się ucieszyła, że teraz będzie kasza, kapusta, bigos wegetariański.

Wróćmy do muzyki. Łąki Łan to główny, ale wciąż tylko jeden motyw muzyczny z kilku, które są Twoim udziałem. CzessBand to zu-

pełnie inna bajka. Słyszę inspiracje folklorem warszawskim, ale też klimatami bałkańskimi...

Balkany – jak najbardziej. Ogólnie są to szerokie horyzonty. Wszystko zrodziło się ze wspólnego muzykowania. Gdziekolwiek jesteśmy, zaczynamy grać na czym popadnie – tak tworzy się muzyka. Przy okazji takiego muzykowania stwierdziliśmy, że chcemy zrobić coś więcej. Zawsze drzemały w nas warszawskie klimaty, jako że w swojej części CzessBandu jesteśmy ostrzy warszawiacy, związani z tym

miastem od pokoleń. Zaczęło się od zabawy, aż nagle rozkręciło się w piękny zespół. CzessBand kultywuje tradycję. Gramy co roku podczas obchodów Powstania Warszawskiego na Rondzie Charlesa de Gaulle'a. Jesteśmy tym, co w Warszawie zaczęło chyba zanikać. Propagujemy patriotyzm lokalny. Nawiązujemy muzycznie do czasów, kiedy stolica była piękna, charakterna, a kiedy przyjeżdżałeś z innego miasta i zapytałeś o konkretne miejsce, to człowiek nie tylko pokazał Ci jak tam dojść, ale poświęcił Ci swój czas, zaprowadził, a po drodze zaprosił na paczka... Albo na coś lepszego...

Skąd fascynacja folklorem Warszawy? Co wpłynęło na to, że tak silnie identyfikujesz się ze stolicą?

Moja mama w latach 60. pisała pracę magisterską pt. „Gwara środowiskowa Pragi Północ”. Sama jest z Grochowa, ale dzięki temu poznała gwara, słowa, grypsy i cały ten klimat z rejonów Dworca Wileńskiego. Zaszczepiła tym we mnie zabawę totalną. Pokazała mi Wiecha, Grzesiuka i pozostałych. Mój tata swego czasu był znany w rejonach „Trójkąta Bermudzkiego”, czyli okolicy ulic Brzeskiej, Zabkowskiej i Markowskiej, gdzie siłował się na rękę, zarabiając na tym przy okazji. Mówiono o nim „Żelazna Ręka”. Tak więc mam całkiem silne korzenie, mimo że uważam, iż byłoby lepiej dla świata, gdyby ludzie skierowali się ku naturze i oddalili od dusznych miast, pełnych marketów, banków i punktów z telefonami....

Z kolejnym zespołem, November Project, wystąpiłeś w talent show „Must Be The Music – Tylko Muzyka”. Co sądzisz o takich programach?

To są, niestety, medialne sterydy, przy których okazji jesteś w stanie nieświadomie zareklamować parówki. Tak było

po moim występie z November Project. Osobiście nie chciałbym niczego reklamować, ale biorąc pod uwagę udział w tym programie, tak zrobiłem. Łąki Łan nie poszedł do MBTM i nigdy nie pójdzie do tego rodzaju show, bo od dawna pracuje na miano zespołu, który nigdy się tam nie pojawi. Rzecz ma się inaczej z November Project. Chciałem po prostu zorganizować przygodę tym chłopakom, żeby dodać im wiary w swoje możliwości. W to, że taki zespół naprawdę ma ręce i nogi, chociaż jego muzycy właśnie z nogami mają problemy. Zrobiliśmy tam niezłe zamieszanie. Nie daliśmy zrobić z siebie bandy smutnych kalek, nieporadnych życiowo, choć dziennikarze, kręcąc reportaże z backstage'u, próbowali tak z nami rozmawiać, zadając pytania o niepełnosprawność zamiast o muzykę. W pierwszym odcinku, kiedy jury miało zdecydować o tym, czy przejdziemy dalej, tuż przed werdyktem, kiedy muzyka buduje napięcie, Mucha, jeden z naszych wózków, podniósł do góry tabliczkę z przerobionym logo programu. Zamiast Must Be The Music – Must Be The Luzik. Ciekawe, kto wtedy był bardziej spięty? (śmiej) Poszliśmy tam bez parcia na karierę. Raczej dla przygody, funu i jaj, bo lubimy sobie jaja robić.

Pozwól, że zapytam o temat ekstremalnie różny od wcześniejszych. Warszawska Turystyka Ekstremalna to Twój pomysł na zwiedzanie Warszawy. Jak wyglądają takie wyprawy i czym różnią się od tradycyjnego zwiedzania?

Poszukiwałem czegoś innego w mieście. Zaraził mnie tym tata – razem chodziliśmy do lasu na Kole albo karmić sikorki na Cmentarz Powązkowski. Patrzyliśmy na pociągi, chodziliśmy koło torów kolejowych. Wtedy zaszczerpił mi taką zajawkę. Potem lubiłem sobie tak łązić z mojej śp. psem Mackiem, który dzielnie towarzy-

szyl mi przez kilkanaście lat mojego życia. Robiłem to w poszukiwaniu tzw. dziury w płocie. Idź tam, gdzie widzisz, że ludzie nie chodzą, że jest jakaś wydeptana ścieżka albo jakaś dziurka w siatce, wybita szyba w oknie. Właśnie tam się wbiąłem i nagle czułem się jak w innych krainach. Lubilem opuszczone kamienice bez lokatorów. Często znajdowałem w nich różne rzeczy, np. ciuchy, w które można było się poprzebierać. Jeden z moich łąkowych strojów jest znaleziskiem z takiej eskapady. Przemalowała go moja koleżanka Solonia i służy mi do dziś.

Warszawska Turystyka Ekstremalna to wypadki, podczas których nie tylko zwiedzamy miasto z zupełnie innej perspektywy. Robimy też dość niekonwencjonalne zawody. To, co znajdujemy po drodze, wykorzystujemy do zabawy – naturalnie, jak dzieci. Jednym z naszych hasel jest „Pielegnuj w sobie dziecko”. Jak znajdujemy oponę, to turlamy ją do celu albo trzeba przez nią szybko przejść. Wspinamy się, na co popadnie, wchodzimy do różnych dziur... Tych zabaw jest nieskończenie wiele. Często są to też ogniska w dość niecodziennych miejscach. Robiliśmy takie wycieczki również w innych miastach Polski – wtedy nazywa się to Wszchepolska Turystyka Ekstremalna. A jeśli zwiedzamy jeszcze dalej, to Wszchświatowa, bo mieliśmy okazję zwiedzać tak np. Turcję. Nazwałbym to poszukiwaniami alternatywnej rzeczywistości. Na pewno nie szukamy guza ani nie mamy zamiaru niczego niszczyć. Po więcej informacji zapraszam na naszego bloga – www.wte.bloog.pl.

Co chciałbyś przekazać czytelnikom Vege?

Dużo się śmiejecie i wylaniajcie na łono natury. Spróbujcie spojrzeć na wasze miasto z innej strony i znajdźcie w nim Wasze miejsca. »«

zDJęcie: Błażej Żóławski

